Andrzej SZOSTEK MIC

LIST DO ALEKSANDRA MAŁACHOWSKIEGO

Nie musi dziwić, że poprzez choroby, ból, perspektywę bliskiej śmierci człowiek odnajduje Boga. [...] Cierpienie może pomóc mu zobaczyć i przeżyć ogrom bezinteresownej miłości, jaką mu oferuje sam Bóg, i uwolnić go od odpowiedzi podobnie bezinteresownej, motywowanej raczej wdzięcznością niż pociechą z oczekiwanej nagrody wiecznej.

Wielce Szanowny Panie!

Zapowiada się, że niniejszy numer „Ethosu" będzie wartościowy, a to w znacznej mierze dzięki tekstom dotykającym tak ważnych tematów w tak osobisty, zaangażowany sposób, jak to Pan czyni w swym *Kościele najuboższych*. Bardzo zań – w imieniu Redakcji naszego kwartalnika – dziękuję. Już samo to, że zgodził się Pan napisać, pomimo tylu innych ważnych zajęć, jest dla nas cenne. Przy okazji wspomniał Pan życzliwie o „Ethosie" w swej tak słusznie popularnej audycji telewizyjnej; z serca dziękujemy. Ale przede wszystkim wdzięczni jesteśmy za to, co Pan napisał. Poruszające rozważania. Skłaniają raczej do milczącej zadumy, niż do dyskusji. O cierpieniu zresztą często lepiej milczeć, niż mówić.

Czasem jednak mówić – raczej rozmawiać, niż polemizować – warto, czego dobrym przykładem jest m.in. właśnie „Telewizja nocą". Jest taki punkt w Pana rozważaniach, który zatrzymał moją uwagę, a w końcu skłonił mnie do napisania niniejszego listu. Chodzi mi mianowicie o Pana przypuszczenie, „iż owo świeckie cierpienie jest jakby odrobinę szlachetniejsze, czystsze, ponieważ istota porażona bólem wielkim, moralnym lub fizycznym, musi go znosić bez perspektywy odległej, lecz dla wierzących niezwykle realnej – nagrody w przyszłym życiu wiecznym". Na tym polega, jak Pan pisze, swoista „niezamienność" cierpienia tych, którzy w Boga i Jego nagrodę nie wierzą; w tym sensie ma to być cierpienie jakby bardziej jeszcze bezinteresowne niż cierpienie religijne, bo niewierzący nie liczy już na żadną pośmiertną nagrodę, jest o tę nadzieję nagrody uboższy. Jeśli tamten jest ubogi, to ten – najuboższy.

Pomyśli Pan pewnie: nic dziwnego, że wierzący – w dodatku ksiądz i zakonnik – broni swego „prawa" do nie mniej szlachetnego i bezinteresownego cierpienia, niż to, które bywa udziałem niewierzących. Ale mój niepokój zaczyna się wcześniej. Czy samo porównywanie pod tym kątem cierpień różnych ludzi nie jest nazbyt ryzykowne? Czy nie są one tak bardzo osobiste – boleśnie osobiste – że „nie przystają" do nich generalne kwalifi-

kacje ani „schematy nakazujące traktować cierpienie" w jakikolwiek sposób? Dotknięty bólem człowiek niejako „od wewnątrz" z nim się zmaga, a przez to zmaga się z samym sobą. On sam jest przez cierpienie doświadczony, do głębi przetrawiony. W cierpieniu przetrawiona jest jego wiara lub niewiara. I jeśli nawet odsłania mu się sens tego bólu, a pośrednio jakby nowy sens siebie samego; jeśli nawet sens ów ma dlań wymowę religijną lub areligijną – to jak porównywać tak osobiste doświadczenia sensu poszczególnych ludzi nie popadając w spłycające zafałszowania?

Oczywiście, przekonany jestem, że wiara bądź niewiara wpływa bardzo istotnie na to, jak człowiek swe (i innych zresztą) cierpienie rozumie i jak je znosi. Ale nie sądzę, że ten wpływ można zinterpretować w takim schemacie relacji do spodziewanej nagrody i bezinteresowności, jak Pan zdaje się sugerować. Zapewne nasza wiara lub niewiara bywa różna. Niekiedy jest powierzchowna, prymitywna. Nie należy jednak pochopnie „równać w dół", próbując zrozumieć postawę tych, do których samemu się nie należy, nie należy jej symplifikować w oparciu o niektóre, nie najlepsze przykłady. Zresztą, jak wspomniałem, cierpienie samo weryfikuje, i to gruntownie, głębię i moc naszych przekonań religijnych. Dla wierzących nie jest to egzamin łatwy. Nie chciałbym ja z kolei popadać w zbyt łatwe porównania, ale czy nie jest tak, że wierzący – wolny od bólów i beznadziejności, z jakimi zmagać się musi cierpiący ateista – natrafia na pytania własne: inne, ale nie mniejsze? Cóż to za dobry Bóg, który – choć wszechmocny i miłosierny – dopuszcza taki ból, tak po ludzku bezsensowny i niszczący? I milczy, pozostaje głuchy na dojmujące, szczere i przecież szlachetne wołanie swoich dzieci! I nie pozwala ulżyć sobie lub innym poprzez eutanazję (do której nb. cytowany przez Pana profesor Kotarbiński zalicza także łagodne i świadome samobójstwo i zachęca do jej stosowania)! Jakiż to Ojciec, który pozwolił, by Jego Jedyny Syn krwią się w Ogrójcu pocił ze strachu, błagał, by – jeśli to możliwe – odjęty Mu został kielich Męki, a na Krzyżu wołał: „Boże mój, Boże, czemuś mnie opuścił"?

Nie ucieka od tych pytań Papież w swym Liście o chrześcijańskim sensie ludzkiego cierpienia *Salvifici doloris*. Tym, co mi z tego Listu utkwiło najsilniej w świadomości, jest pokazanie konieczności swoistego „odwrócenia zależności" pomiędzy rozumieniem sensu cierpienia a jego podjęciem w duchu cierpienia Chrystusa. Człowiek – co zrozumiałe – chciałby najpierw pojąć jego sens, przyjąć go za swój i wtedy dopiero móc zgodzić się na swój bolesny los, odwołując się (jeśli uważa się za chrześcijanina) do Chrystusa i Jego Męki. Tymczasem – powiada Papież – „Ten, wobec kogo stawia swe pytanie, sam cierpi – a więc [...] chce mu odpowiadać z Krzyża, z pośrodka swego własnego cierpienia. [...] W miarę, jak człowiek bierze swój krzyż, łącząc się duchowo z Krzyżem Chrystusa, odsłania się przed nim zbawczy sens cierpienia" (*Salvifici doloris* p. 26). Nie sposób pojąć sensu cierpienia z zewnątrz. Zaś od wewnątrz ono właśnie staje się niekie-

dy drogą do wiary w Boga, jakby to paradoksalnie nie brzmiało w świetle przytaczanych wcześniej trudnych pytań. Nie musi dziwić, że poprzez choroby, ból perspektywę bliskiej śmierci człowiek odnajduje Boga, niekoniecznie wedle porzekadła „jak trwoga, to do Boga". Cierpienie może pomóc mu zobaczyć i przeżyć ogrom bezinteresownej miłości, jaką mu oferuje sam Bóg, i uzdolnić go do odpowiedzi podobnie bezinteresownej, motywowanej raczej wdzięcznością niż pociechą z oczekiwanej nagrody wiecznej.

Ten, którego cierpienie tak przybliża do Boga, jest bogaty, pomimo całego swego bólu. Kto więc zmaga się ze swym bólem „a-teistycznie" jest – w oczach wierzących – biedny, ubogi. Ma Pan rację. Tylko nie jest to sprawa bezinteresowności lub jej braku, większej lub mniejszej szlachetności. Ani nie jest tak, by „warto było wierzyć", bo się to w chwilach cierpienia „opłaci". Wierzący o tyle tylko jest wierzącym, o ile jest przekonany, że to, w co wierzy (czy raczej: Ten, w Którego i Któremu wierzy), jest prawdą. Wygodną czy nie, łatwą czy trudną, użyteczną czy nie bardzo – to inna sprawa, wtórna wobec tamtej. Ostatecznie nie tylko cierpienie ujawnia różny swój sens w perspektywie wiary bądź niewiary. Istnienie bądź nieistnienie Boga, w szczególności: prawdziwość lub nieprawdziwość chrześcijańskiego Objawienia, decyduje o sensie całego ludzkiego życia, człowieka po prostu. Chrześcijanin zawsze będzie skłonny uważać za biednego każdego, kto nie dostrzega tej prawdy, którą on sam uważa za najważniejszą. Niewierzący z kolei skłonny będzie może współczuć tym, którzy żyją złudzeniami (te zaś niekiedy wydają się pocieszające i piękne, kiedy indziej niepojęte i trudne do zniesienia). Ostatecznie pozostaje im jeden wspólny fundament: uczciwe szukanie prawdy. Chrześcijanin wierzy, że to i ateiście wystarczy, by był zbawiony przez Tego, który jest Samą Prawdą...

Takie oto myśli krążą mi po głowie po lekturze Pańskiego, naprawdę poruszającego tekstu. Pomyślałem, że byłoby dobrze opublikować ten list w „Ethosie", i mam nadzieję, że nie ma Pan nic przeciw temu. Gdyby zechciał Pan odpowiedzieć, chętnie kolejną Pana odpowiedź opublikujemy, choć wątpię czy zdąży się ona ukazać w numerze 6-7. Byłbym wdzięczny za rychłą odpowiedź, czy Panu taka publiczna wymiana myśli na łamach „Ethosu" odpowiada. Tymczasem raz jeszcze dziękując za tekst, który – mam nadzieję – nie tylko dla mnie jest cenny, serdecznie Pana pozdrawiam i życzę przy okazji wiele mocy i radości od Tego, który swoją Śmiercią i Zmartwychwstaniem złamał potęgę naszej śmierci oraz wszelkiego zła i jest naszym Życiem Wiecznym.